

ADAM WIARYGA-MINIESKI

Miłość i wojna

Powieść z dni ostatnich.

9

— Komu się to zachciewa czytać o miłości, takiemu gołowasowi, który powinien siedzieć nad gramatyką łacińską, albo logarytmami — odezwał się pogardliwym tonem saper Poniewicz.

Jurek rzucił się, jak oparzony.

— Proszę! A jak wkraczaliśmy do Kielc, to za kim panny się oglądały, może za saperami, komu rzucały kwiaty, saperom może...

— Ależ, Jurek — mitygował go ktoś — tam wtedy wcale saperów nie było!

— No to co, że nie było?! A gdyby nawet byli, to żadna panna nie spojrzałaby na nich, bo co to za wojsko?!

Pani Krystyna śmiała się serdecznie z tych przekomarzań:

— Jutro przyniosę książki i gazety, a dla pana Jurka gramatykę łacińską! — dodała żartobliwie.

— O! Mnie się zdawało, że pani bardzo dobra, a ja widzę, że panią już przekabacili panna Zosia i saper!

Zabrzmiął znowu śmiech.

— Sto pociech mamy z tym Jurkiem — mówiła panna Zofia — rozwesela wszystkich.

Pani Krystyna zwróciła się do panny Rasińskiej z zapytaniem:

— Czy w tym szpitalu są jeszcze inni Polacy?

— Jest ich jeszcze sporo w innych salach. Mamy także kilku oficerów Polaków.

— Czy panie polskie często tutaj przychodzą?

— Zaglądamy kiedy niekiedy, ale nie tak często, jakby spodziewać się można. Jeszcze nasz szpital jest pod tym względem najszcześniejszym, ponieważ położony jest w centrum miasta... Ale Polaków znaleźć można we wszystkich innych szpitalach Wielkiej Pragi i na wszystkich przedmieściach. Niestety na przedmieścia to już rzadko kto zagląda, a gdzie indziej pozbawieni są nasi żołnierze zupełnie odwiedzin rodaków i polskiej lektury. Niedawno na przykład byłam w szpitalu w „Dejwicach”. Jest tam pięciu Polaków... Skarżyli się, że im bardzo smutno. Nikt z naszych ich nie odwiedza, bo to daleko od miasta — obcy przechodzą koło nich obojętnie, czasem nawet nie jedną gorzką pigułkę przełknąć przyjdzie. Tak... tak... Do któregośkolwiek szpitala zajść, napewno znajdzie się tam Polaków, łaknących rozmowy z rodakami i polskiej książki. W tym wypadku, zarówno jak w wielu innych potwierdzają się słowa Krasieńskiego: „Wszędy, wszędy na planecie ryty naszej braci ślad”...

Pani Krystyna słuchała uważnie. Nieprzyzwyczajona do poważnego myślenia, nie sięgała w głąb rozumowań medycznych, nie rozumiała niektórych jej niedomówień, odczuwała jednak mocno to, co tamta powiedzieć chciała, że są pewne rzeczy, które się czynić powinno, a zapomina się o nich, zaniedbuje się je i to jest źle... A logika szlachetnego, współczującego serca podsuwała pani Krystynie wniosek, że trzeba naprawić to, co się zaniedbało.

Pani Wolska pożegnała się z żołnierzami i panną Rasińską i wyszła na ulicę pogrążona w myślach tak poważnych, jakie rzadko ją nawiedzały.

Od niejakiego czasu bezczynne, bezcelowe życie zaczynało nudzić panią Krystynę. Ziewała na przedstawieniach kinematograficznych, w teatrze lub na koncercie odczuwała coraz częściej przesyt (nie była przecież artystką, ani nawet zawziętą melomanką) gwar kawiarniany zaczynał ją nużyć i męczyć. Komplementy i opowiadania Potyrowskiego wydawały się jej nieraz płaskimi i szablonowymi.

Rozsądek zresztą nakazywał jej trzymać się trochę zdala od niego, ponieważ coraz wyraźniej zdradzał swoje zamiary matrymonialne, które w sercu bogatej wdowy znajdowały coraz mniej oddźwięku.

Nie zdając więc sobie dokładnie sprawy z przyczyn, pani Krystyna coraz częściej doświadczała napadów nudy, zniechęcenia, melancholii.

I oto nagle teraz wykwitł przed nią cel piękny, jasny, świetlany, który mógł ją ożywić, odmłodzić, podnieść we własnych oczach, uszlachetnić.

Postanowiła, że wyrobi sobie pozwolenie odwiedzenia wszystkich szpitali. Nie ominie żadnego i choćby jeden się tylko Polak tam znajdował, odwiedzi go. Będzie się dowiadywała, czego któremu z rannych, chorych żołnierzy polskich brakuje, będzie starała się spełniać ich życzenia, dopomagać im, pocieszać ich, czuć z nimi.

Będzie im matką, siostrą, opiekunką.

Pani Krystyna zatopiona w swoich myślach, jak przez mgłę usłyszała wymówione przy sobie słowa:

— Może łaskawa pani kupi kartek... Bardzo ładne... Polskich malarzy... Czeska sztuka... Bardzo ładne... artystyczne...

Słowa te wymówił stary, siwy mężczyzna, dzwigający pod pachą spore pudełko. Otworzył je i podawał pani Krystynie.

Plecy miał silnie przygarbione, a nogami suwał ociężale, widocznie zmęczony długim chodzeniem po ulicach miasta.

Pani Krystyna była tak zajęta własnymi projektami, że nie starała się nawet zrozumieć, kto i o czym do niej mówi.

Dała tylko znak ręką, że niczego nie chce, nie potrzebuje.

Stary z westchnieniem zamknął swoje pudełko i podreptał dalej.

Szedł coraz powolniej z opuszczoną głową, plecy jego przygarbiły się jeszcze widoczniej. Kiedy uszedł kilkanaście kroków, zatrzymał się, obejrzał za siebie w dół strojąc postać pani Wolskiej, pokłonił smutnie głową i szepnął do siebie:

— Moj Boże! Taka bogata pani i tak jej jakoś dobrze z oczu patrzy, a nie kupiła... Cóżby jej to szkodziło, żeby tak kupiła tuzin kartek, no, choćby ze sześć... Miałbym za to ciepłą kolację, a niechby już nawet parę „würstli”. Nikt nie chce kupować moich kartek, nikt!... Nie zarobiłem dzisiaj ani halerza... A taki jestem zmęczony, nogi boją i jeść się chce... Ano... Czy może zebrać mi przyjdzie na stare lata? Boże mój! Boże!... Jak trudno żyć tu pomiędzy obcymi!...

Tym przekupniem kartek był Andrzej Gilewski. W młodości swojej miał on chwile górne, jasne, promienne. Marzył o sztuce i sławie. Kilka pierwszych jego obrazków roznieciło nad głową młodego malarza promyki sławy.

Znawcy przepowiadali Gilewskiemu piękną przyszłość pod warunkiem, że jego talent znajdzie drogę rozwoju. Ale talent ten nie rozwinął się, gdzieś zagubił się, zatracił w przymusowej pracy zarobkowej, w codziennej gonitwie za chlebem powszednim. — Powoli Gilewski starzał się, zacierały się w nim górne marzenia, dławione bezlitośnie przez szarą „kumę-troskę”.

W mieście, w którym mieszkał stale, znano go jako dobrego ilustratora, a że nie był zbyt wymagającym, bo zawsze potrzebował zarobku, zwłaszcza kiedy chorowała żona lub trzeba było pieniędzy na wykształcenie syna, więc orano nim, popychano to w tę, to ową redakcyję, to w tem, to w owym wydawnictwie.

A potem umarła żona, syn wyjechał do Ameryki i Gilewski został sam, stary i znużony.

Wybuchła wojna, przyszła ewakuacja i Gilewski znalazł się na bruku praskim bez żadnych środków do życia.

Był Królewakiem, nie przysługiwało mu więc nawet prawo do pobierania 70 halerzy zasiłku dziennego.

I uni, którzy znaleźli się w tem samem, co i on, położeniu, radzili jakoś sobie. Chodzili od komitetu do komitetu, od stowarzyszenia do stowarzyszenia, szukając pomocy, ale Gilewski nie umiał tego robić, nie wiedział nawet, jak się do tego zabrać. Uparł się przebiedować i przecierpieć ten czas o własnych siłach. Całe życie swoje pracował ciężko, z zaparciem się własnych rojeń i wierzeń, zebrać i prosić nie umiał.

Zaczął szukać pracy, jakiegokolwiek pracy. Znaleźć jednak tę pracę było mu bardzo trudno. Dla jednych był za starym, w innym miejscu przeszkadzała mu w otrzymaniu roboty nieznajomość języka czeskiego lub niemieckiego, gdzie indziej znowu pytano go:

— Vyš-ťe uprchlik?

— Tak jest, musiałem opuścić kraj, szukam pracy... Będę się starał...

Przeczące wstrząśnienie głową przerywało dalsze zapewnienie.

— Neni třeba — brzmiała odpowiedź.

I Gilewski odchodził, aby zacząć poszukiwania na nowo, gdzie indziej.

Po długich zabiegach udało mu się wreszcie otrzymać od pewnej firmy wydawniczej kartki do rozprzedaży i wtedy zaczęła się dla niego żmudna, ustawiczna wędrówka po bruku praskim.

Chodził od sklepu do sklepu, z jednej dzielnicy miasta w drugą, choćby najbardziej oddaloną, byle tylko zdobyć ów marny zarobek groszowy, byle przeżyć, przetrwać te najcięższe czasy.

Objało mu się nieraz o uszy, że niektórzy towarzysze niedoli wychodzącej korzystali z bezpłat-

nych obiadów, podwieczorków, kolacy i pieniężnych zapomóg.

Nie przyszło mu jednak na myśl, że on mógłby starać się także o jakieś ulgi, że miałby większe prawo do tego, aniżeli inni, bo jest stary i zmęczony, ach! tak bardzo zmęczony.

Chodził przecież niezmordowanie, z głową spuszczoną, z plecami przygarbionymi i sprzedawał kartki. Czasem zarobił na całodzienne życie. Ale dzisiaj nie poszczęściło mu się stanowczo, nie sprzedał nic i nie miał w kieszeni ani halerza.

Ostatnie kilka koron musiał wczoraj oddać gospodyni za mieszkanie, za nędzny kątek do spania, który odnajmował w dusznej kuchence.

Wysoka, o imponującej tuszy mieszczańska praska zażądała od niego stanowczo, aby natychmiast uiścił się z długu, bo ona niema zamiaru mu kredytować.

Zapłacił i dzisiaj nie jadł obiadu, a według wszelkiego prawdopodobieństwa nie będzie także mógł zjeść i kolacy.

Przechodził właśnie koło przenośnego piecyka, który ustawił na rogu ulicy przekupień gorących „würstli”.

Gilewski wciągnął w siebie parę, wydobywającą się z piecyka. Zapach ciepłych kiełbasek podrażnił go silnie. Starego zamdlilo jakoś dziwnie, poczuł, że jest głodny, bardzo głodny, przypomniał sobie, że on dzisiaj nic prawie nie jadł.

Z jakąż rozkoszą zatopiłby zęby w ciepłych, soczystych kiełbaskach.

Usiłował opanować się, nie myśleć o głodzie i jedzeniu.

Chciał zająć umysł oglądaniem wystaw sklepowych, ale, jakby na ironię, na urągawisko, oczy jego padały co chwila na szyby wystawowe piekarni, wędliniarni, cukierni, sklepów z delikatesami i t. p.

Drzwi restauracyi otwarły się. Zmieszana woń piwa i smażonego mięsa podrażniła znowu podniebienie Gilewskiego. Slina napłynęła mu obficie do ust. Jakby magnetyczną siłą jakąś pociągnięty, zatrzymał się przed oknem wystawowem wędliniarni.

Uśmiechały się do niego różowe szynki, nęciły go zwoje kiełbas, drażniły umiejętnie pokrajane i ułożone kawałki surowego mięsa.

Stał i patrzył i coraz szybciej przetykał ślinę, nerwowo mrugając powiekami.

Z trudem oderwał wzrok od wystawy z wędlinami i powłókł się dalej, usiłując nie patrzeć na okrągłe, dobrze wypieczone bochenki chleba, smakowite „buchty”, przekładane makiem lub powidłami, odwracał oczy od tłustych śledzi i ryb wędzonych, omijał wzrokiem białe-różowe jabłka, złote pomarańcze, zielono-złociste winogrona.

Kierował się ku taniej „kuchni” polskiej.

Nie zarobił dzisiaj wprawdzie nawet na szklanek herbaty, ale chciał przynajmniej posiedzieć w cieple, popatrzeć na swoich, nasłuchać się polskiej mowy.

A może ktoś kupi choć kilka kartek?...

Starał się pocieszyć choć tą myślą, że nie jest zmuszony wracać teraz do swego „kąta”, do dusznej, przesyconej zapachem gotującego się jadalni kuchenki, do swarliwej gospodyni, która niechętnie i z ironicznym politowaniem patrzyła na niego.

Wszedł do „kuchni”. Na wstępie zaraz owiał go zapach ciepłych kiełbasek, które wydobywała z kociołka dyżurująca panienka.

Odwrocił się i podreptał na drugi koniec sali, aby być jak najdalej od stołu, na którym piętrzyły się stosy nakrajanych kromek chleba i stały miski żółciutkiego masła, śnieżno-białej „bryndzy”, ciemnoczerwonej marmolady.

Wcisnął się w kąt pod oknem i postawił przed sobą na stole otwarte pudełko z kartkami.

Miał jeszcze słabą nadzieję, że może ktoś zauważy kartki, zainteresuje się nimi, zechce zobaczyć i kupi coś.

Na to, by zaczepić kogoś, namawiać do kupna, nie miał już dzisiaj odwagi i siły.

Cicho siedział w swoim kącie i z pod napuchłych, zaczerwionych powiek spoglądał na salę.

Musiał jednak co chwila odwracać oczy, bo drażnił go widok roznoszonego jedzenia.

Tuż opodal Gilewskiego usiadło kilku młodzieńskich uczniów gimnazjalnych.

Chłopcy z istic młodzieńczym apetytem spożywali podwieczorek, a jeden z nich wyraził głośno pochwałę, że „würstle” są dzisiaj „extra-extra”.

Gilewski odsunął się nieco dalej.

Coś go dławilo za gardło, do obolałych oczu napływały piekące łzy.

Jakto? Czyżby on zazdrościł tym chłopcom ich skromnych kęsów?!

Więc to doprawdy on, Andrzej Gilewski, pożera oczyma kawałek chleba, który ktoś inny do ust wkłada?!